

MUSZYŃSKIE CZAROWNICE, MAMUNY, BOGINKI I...

Tam, gdzie Poprad, przeciskając się między górami, płynąc z południa rozlewa się szerokim zakolem, chwytając w swe objęcia Muszynkę i Szczawniczek, rozsiadło się od wieków miasteczko. Muszyna.

W dobrach biskupich przeżywała lata rozkwitu i upadku. Zagubiona wśród gór na kresach Rzeczypospolitej, zapomniana przez historię i współczesnych, żyła swym własnym życiem. Czas jakby się tu zatrzymywał, zwalniał, czaił, to znów wydarzenia światowych zawieruch popychały go nagle do przodu.

Żyło się tu od wiosny do wiosny, od wschodu do zachodu słońca, życiem prostym, pełnym tradycji, wierzeń i obyczajów pielęgnowanych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Muszyńscy mieszczenie święcie wierzyli w przeróżne moce, zarówno dobre, jak i złe. Czary i uroki, mamuny i boginki oraz wiele innych stworów.

Żadna uroczystość nie obeszła się bez wielu ceremonii, dziś już zapomnianych, mających na celu pozyskanie przychylności dobrych duchów lub odstraszenia złych. Żadna praca w polu czy warsztacie rzemieślniczym nie rozpoczęła się bez odpowiedniego rytuału.

Spróbujmy sobie wyobrazić, jak wyglądała Muszyna i jak żyli jej mieszkańcy np. w roku 1765.

Nad miasteczkiem na Górze Zamkowej (dziś zwanej Basztą) wznosiły się mury potężnego zamku. Pod górą, tuż nad brzegiem Muszynki, przysiadły młyn i gorzelnia, browar oraz piła (tartak). Nie opodal kilka chałup, w których mieszkali zagrodnicy i chałupnicy oraz rzemieślnicy obsługujący te zakłady. Po drugiej stronie drogi wznosiły się okazałsze zabudowania dworu starosty w otoczeniu wiekowych modrzewi. Nieco dalej chylił się ku upadkowi stary drewniany kościół.

Na wschód od dworu był niewielki rynek, na którego przeciwległych krańcach stały już pewnie dwie kapliczki św. Jana i św. Floriana. W środku rynku był ratusz, w którym zbierał się sąd kreski, obradowała rada miejska, rezydował burmistrz i wójt.

Wokół rynku przysiadły drewniane mieszczkańskie domy o półkolisto zakończonych bramach z małymi okienkami spoglądającymi na ratusz. Za tymi domami ciągnęły się „ogródki zatylnie” do samej rzeki lub do podnóża Malnika. Nieco dalej za rynkiem, w stronę Powroźnika, rosła w górę bryła nowego murowanego kościoła.

Mieszczanie zajęci własnymi obowiązkami krzatali się w gospodarstwach lub warsztatach rzemieślniczych. W niedzielne ciepłe i słoneczne popołudnia siadali na ławkach przed domami i wspominali kwietniowe dni sprzed zaledwie dwóch lat. Wydarzenia tamtego roku jeszcze żywo tkwiły w pamięci.

Starostą na Muszynie był szlachetny IMCi pan Idzi Fichauser, jak się potem okazało, ostatni ze starostów w tym miasteczku. Urząd wójta sprawował sławetny pan Klemens Woyciakiewicz, a burmistrzem był sławetny pan Franciszek Bartmanowicz. Za urzędowania wyżej wymienionych sławetnych panów — muszyńskich mieszczan — odbył się na ratuszu ostatni proces i potem egzekucja czarownicy, wdowy, mieszczi tylickiej, niejkiej Oryny Pawliszanki.

Rozprawa sądowa odbywała się zarówno w Tyliczu, jak i w Muszynie. Oskarżenie, jakie jej wytoczono to:

- Kiedy wyszła za pierwszego męża, wioząc skrzynię, zamknęła ją na kłódkę na granicy Tylicza.

- Kiedy po nabożeństwie w ceri tylickiej przyjąwszy komunię świętą zatkała sobie ręką usta, odwróciła się i zrobiła ruch, jakoby coś z ust wyjmowała. W cerkwi zrobiło się poruszenie.

- Młynarka oświadczyła, że kiedy przed świtem udawała się na targ do Bardiowa, zauważyła Orynę w samej koszuli chodzącą po ogrodzie. W jednej ręce miała chustę, którą wlokła po zroszonej trawie, a w drugiej skopiec. Co pewien czas przystawała i wykrcęła rosę z chusty do skopca.

- Tymko Woykowski zeznał, że kiedy miał wyganiać owce na koszar, Oryna przeszła przez środek jego stada z konewką po wodę.

Obserwowana przez ponad dwadzieścia lat kobieta posądzona została o czary. W dniu 13 kwietnia, tuż po świętach Wielkanocnych, sąd po dwóch dniach rozprawy wydał wyrok, który pisarz odnotował w księdze sądowej:

„Zapatrzywszy się Prawo na artykuł 63 w prawie Chełmińskim z ksiąg piątych, gdzie uczy ten artykuł prawa, aby na kogo się pokaże bałwochwalstwa czartostwo iako się na też Orynę ze świadectwa pokazało od kilkunastu lat, która aby według zwyż wyrażonego prawa y artykułu spalona bydz powinna, tylko urząd Obojga Praw miłosierdziem zdięty, tylko ściąg pod szubienicą *naznacza* y zaraz ciało pochować...”. Pisarz kończy protokół z rozprawy słowami „Co in effectu stało się”. Można więc dziś przypuszczać, że Oryna Pawliszanka nie została już zwolniona z muszyńskiego ratusza, ale drabiniastym wozem wywieziona na wzgórze pod Dziubasówką, do dziś zwane Szubienicznym lub Pod Szubienicą, i tam stracona.

Był to drugi udokumentowany przypadek sądu i stracenia kobiety za czary w Muszynie. Pierwszą „czarownicą”, osądzoną i straconą 85 lat wcześniej, była Anna Dudzicha — również wdowa — zagrodnica muszyńska.

Rok 1678 był niezmiernie suchy. Słońce paliło od dłuższego czasu i ani kropli deszczu. Taka susza wróżyła jedno — nieurodzaje i głód. W mieście wzrastało podniecenie. Jedyнным tematem rozmów był temat pogody i deszczu. Może nawet modlono się o deszcz, dawano na wotywnie msze św.

Walenty Beldowicz — stary ławnik — wracał wtedy ze Starego Sącza, może z jarmarku, do domu. Pod Mikową spotkał Jana Koguta. Podczas rozmowy o pogodzie Kogut powiedział:

- Deszczu nie masz, bo białogłowa jedna dziecię ususzyła i u gontów zawiesiła, a gdy się na deszcz zaniesie, to tym dziecięciem chwijeje aż się chmury rozchodzą.

Bełdowicz rozpowiedział o tym w mieście, więc burmistrz i wójt od razu wdrożyli dochodzenie, by przeszkodzić w niecnym działaniu. Zawezwany przed oblicze władzy Kogut w ratuszu oświadczył, że o tym zasuszonym dziecku opowiedział mu Fedor Dudzich. Wezwano więc i Fedora. Ten oświadczył, że wie o tym od swojej matki Anny Dudzichy. Tak samo zeznał dobrowolnie Jakub Barnaś. Wobec tego posłano harników po Dudzichę. Stanąwszy przed sądem oświadczyła, że owszem słyszała taką mowę, ale nie może przypomnieć sobie, kto jej o tym mówił. Władze kazały zamknąć Dudzichę do więzienia pod ratuszem. Szybko wytoczono jej kilka oskarżeń:

- Rozpędzanie chmur wysuszonymi zwłokami noworodka.
- Kiedy jej synowa uciekła na Krzyżówkę z małym dzieckiem, Anna podobno odgrażała się, że pośle po synową „chowańców”. Miały to być czarty w postaci zwierząt, zwłaszcza czarnych kotów, które czarownica chowała i posyłała nocą, by szkodę czyniły ludziom.

Sama synowa przed sądem twierdziła, że coś ją w nocy tak „ciągnęło do Muszyny, że z trudem mogła się oprzeć”.

Sąd wysłał dwóch ławników, Jana Krzysztofiaka i Jana Rodzanowskiego, by przeszukali zagrodę oskarżonej. Kiedy wrócili, oświadczyli, że żadnego „latańca” ani „chowańca” nie znaleźli, jedynie tylko przy płocie zawiązaną chustę, która była sucha, mimo że deszcz przeszedł.

Synowa dalej twierdziła uparcie, że nigdy nie mogła wejść do komory, gdzie teściowa trzymała mleko i robiła masło.

Sąsiad Anny, Jan Gąsior, również zagrodnik, oskarżył ją o odbieranie mleka dworskim krowom.

Sąd znów posyłał „rewizorów” do zagrody Anny. Jan Krzysztofiak i Stanisław Malski tym razem powrócili z dowodem czarów. Oświadczyli uroczyście i pod przysięgą, że odnaleźli w komorze 11 i pół garnków mleka, a kiedy warzechą sięgnęli do garnków okazało się, że były na mleku dwie warstwy śmietany.

Ten *zarzut* Dudzicha odparła stwierdzeniem, że tak jej Pan Bóg daje, ale później przyznała się jakie czyni praktyki. „Kłagiem smarując grzanek dwa razy w miesiąc oraz koprem sypiąc, będzie dość mleka i śmietany, daiąc to krowom jeść...” — mówiła na torturach, kiedy mistrz świętej sprawiedliwości (kat) wydobywał z niej zeznania.

Najpoważniejszym było oskarżenie Bartłomieja Bębniaka — rajcy miasteczka. Oświadczył on mianowicie, że brat jego żony, Wojciech Stelmaszyk po 32 latach wrócił do Muszyny jako żebrak. Strofowany powiedział, że winna temu Dudzicha, bo to ona wykąpała go w jednej beczce z Fedorka u Murańskiej, rzucając przy tym na oboje czary. Fedorka porzuciła męża i ze Stelmaszykiem poszła w świat. Dopiero kiedy umarła, Stelmaszyk wrócił do Muszyny biedny i goły jak święty turecki.

Jeszcze jeden wypadek poświadczył o tym, że Anna była muszyńską czarownicą. Otóż pisarz sądowy Szegieda zapisał w protokole, że kiedy Dudzicha miała być katu wydana, skądś przyleciał zając pod ratusz, co wielu ludzi widziało.

Nie dość na tym! Kiedy czytano jej wyrok, znów zając się pojawił koło ratusza. Ludzie skoczyli, aby go złapać, ale zając zniknął.

Wierzono wtedy święcie, że gdy czarownica znajduje się w opałach, szatan przybiera postać zwierzęcia i spieszy jej na pomoc. Pojawienie się zająca w tym momencie niezbitie wskazywało na to, że Dudzicha była czarownicą, a wcześniejsze oskarżenia prawdziwe. 25 czerwca 1678 roku, po zatwierdzeniu wyroku przez starostę spalono Dudzichę na stosie na Szubienicznym.

Rozwój czarnej magii, czarnoksięstwa, powstawanie różnych sekt, które jakoby miały powiązanie z czartami, skłoniły władze kościelne do wydania walki temu zjawisku. Papież Innocenty VIII bullą „Summis desiderantes” z 5 grudnia 1484 roku nakazywał zwalczanie wszelakich czarów i czarownic. Celem ułatwienia zadania wyznaczonego przez papieża, w roku 1620 niemiecki zakonnik F. Sprenger wydał dzieło „Malleus Maleficarum” — „Młot na czarownice”, w którym wyjaśniał, jak poznać czarownicę i jak z nią postępować, by się do czarów przyznała.

Rozpoczęło się tedy w całej Europie obłędne polowanie na czarownice. Torturowanie, pławienie, palenie na stosach. Z czarownicami walczyli nie tylko katolicy, ale i protestanci. Dość wspomnieć, że w Bazylei w jedną tylko niedzielę w 1525 roku spalono na stosach 50 czarownic! W Polsce prześladowanie czarownic nie przyjęło aż takich rozmiarów, ale ilość wydanych wyroków musiała być znaczna, skoro Sejm w 1778 r. zakazał wytaczania procesów czarownicom.

Muszyńska Księga Sądowa zawiera dwa protokoły rozpraw przeciw czarownicom, ale kto wie czy nie było ich w miasteczku więcej? Pozostała przecież wiara w czary i uroki. Jeszcze w okresie międzywojennym niektóre stare kobiety chodziły ponad Muszynkę i Poprad, zbierały suche patyki (osuszki), jakie pozostawały na brzegach po opadnięciu przyboru wody i paląc je potem okadzały wymioną swoich krów, wierząc, że krowy nie utracą mleka. Obchodziły z pustą konewką pasące się bydło w tym samym celu. Wałęsały się po oborach sąsiadów zabierając różne drobne przedmioty, które miały pomagać w czarach, przy rzucaniu uroków.

Podobno na Folwarku, Zazamczu i części Muszyny zwanej Zakościołem jeszcze do wybuchu II wojny światowej znano takie kobiety. Ta z Zazamcza chełpiła się, że potrafi „porobić”, ale nie zawsze wie jak „odrobić”. Natomiast koleżanka z Folwarku ponoć „czarowała w obydwie strony”.

W starym domu jakiejś kobiety, gdzieś pod Jastrzębikiem, zbierały się jej koleżanki, zasłaniały okna kocami, popijały herbatę z gorzałką, plotkowały i tańczyły śpiewając:

„Rzykła jedna drugiej
Napijme się obie
Bo nom tam nie dadzom
Gorzałeczki w grobie!”

Może w ten sposób czarownice akumulowały w sobie czartowską siłę, by „porobić i odrobić sionsiadowym krowom na mliku!”...

O ile czarownice były realnymi osobami, żyjącymi wśród ludzi i z ludźmi, o tyle całe zastępy mamun, boginek, gneciuchów, południc i smętków przetrwały

tylko w opowieściach i legendach. Jak się okazuje, nie całkiem jeszcze spisanych, przekazywanych przeważnie ustnie.

Coś chyba musiało być w tym prawdy, skoro różne osoby w tych samych miejscach, choć może o różnym czasie, doświadczały takich samych przeżyć, widziały te same lub podobne postacie.



Mamuna. Rzeźba Józefa Citaka (ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Muszynie)

Za kościołem, między Malnikiem a Paleniskami, ciągnie się głęboki potok. Wilcze. Strone jego brzegi porastają stare jodły i świerki, a dnem sączy się woda po omszałych kamieniach. Ten to potok upodobały sobie bardzo boginki. W jego zimnej i czystej wodzie prały swe szmaty (ubrania?) w upalne letnie dni i rozwieszały po krzakach i drzewach, na samym dnie wąwozu.

Zofia — muszyńska mieszcza, wybrała się wraz z córkami do Wilczego po mech (trzeba było „umszyć” stajnię). W upalny lipcowy dzień szły z płachtami, rozmawiały. Nagle znad potoku doleciał je stukot kijanek. Przystanąły. Nasłuchiwały. Wyraźnie słyszały chlapanie wody, jak gdyby ktoś płukał szmaty. Rozglądały się. Starwały się dostrzec przez gęstwinę gałęzi leszczyny i malin, kto w potoku *urządza* pranie.

Zauważyły porozwieszane na gałęziach młodych jodeł jakieś zszarzałe szmaty.

Poprzez chlupot wody doleciał do ich uszu szyderczy śmiech.

-Hi! Hi! Hi!... Ha! Ha! Ha!... -

i jakiś nieludzki głos wołał:

- Jedna noga dwa buta!

-Hi! Hi! Hi!... Ha! Ha! Ha!... -

Na kobiety padł strach.

- Rany boskie!... Boginki! -

Te słowa sparaliżowały na moment Zofię i jej córki, po czym nakazały natychmiastowy i szybki powrót z Wilczego — bez mchu. Nie poszły już chyba więcej do tego potoku.

Boginki pojawiają się we wszystkich muszyńskich legendach i opowiadaniach jako małe i bardzo szpetne kobiety, piorące bieliznę, szmaty. Ukazywały się ponoć nago, może dlatego, że właśnie prały bieliznę? Boginki szczególnie prześladowały kobiety w ciąży. Miały nawet porywać nowonarodzone dzieci. Jeden z zacnych i szanowanych gospodarzy, właściciel łąki w Wilczem, opowiadał kiedyś, że raz podeszły boginki do kosiarzy.

Podobną historię jak Zofia przeżyły w Wilczem Józef owa i Michałowa, dwie muszyńskie mieszczyki. W sierpniowe ciepłe popołudnie wracały z malin. Szły z Kondratówek, a może z Garbów, przez Wilcze. Gdzieś w okolicach „Sarnowego Lasku” usłyszały chlapanie, a po chwili szyderczy śmiech. Nie czekały na nic. Biegiem oddaliły się z tego miejsca.

Jeszcze i dziś we Wilczem w letnie upalne dni zdarzy się słyszeć chlapanie i stukot kijanek o wodę, a na niewielkich świerkach tuż nad samą wodą zobaczyć można suszące się jakieś szmaty, stare koszule, spodnie, wyblakłe i potargane swetry.

Czyżby do dziś istniały w tym potoku boginki?

Potok Wilcze w ogóle nie miał dobrej sławy. Podobno przez „Pańków Brzyg” z cmentarza schodziły do niego strzygi i strzygonie. Miały to być dusze „na pokucie”, które jako karę za swe grzechy nosiły głowę pod pachą i nocami przez potok we Wilczem szły na miejsca, gdzie za życia popełniły najcięższe grzechy. Takiego strzygonia chyba w 1934 lub 35 roku widziała jeszcze Agnieszka Ż., stara muszynianka, gdy listopadową nocą wracała pod Jastrzębik z rynku od swej córki.

Pod brzegiem, nieco od drogi, tuż nad potokiem stał kiedyś dom, stajnia, stodoły. Całe gospodarstwo tętniło życiem. Na podwórzu skrzypiał żuraw, w stajni porykiwały krowy. Koguty co rano budziły domowników. Wszystko było dobrze do czasu, kiedy do tego domu sprowadził się gneciuch.

Wiara w gneciuchy była bardzo silna wśród muszyńskich mieszczan. Wierzono, że przyjmuje on postać małego chłopca. Nocą wchodzi do chat i siada na piersiach śpiących ludzi. „Gnecie” ich tak, że nie mogą w ogóle oddychać. Kiedy jednak śpiącemu udało się przewrócić jakoś na bok, wtedy często słyszał, że coś, jakby kłoda, spadało na podłogę. To właśnie był gneciuch!

Taki gneciuch zadomowił się w chacie nad samym brzegiem potoku z Wilczego. Starzy Muszyniacy może pamiętają ten dom, który bardzo szybko opustoszał i nie było chętnych, którzy by go chcieli kupić. Ludzie omijali gospodarstwo, patrzyli z żalem jak niszczeje i wzdychali:

- Oj, żeby nie ten gneciuch! Miejsce dobre, woda blisko, do kościoła niedaleko! Tylko ten gneciuch!

I tak dziś już nie ma śladu ani znaku po dawnym gospodarstwie.

W letnie upalne dni, kiedy nastawał czas sianokosów, kosiarze i grabiarze całymi dniami przebywali na swych łąkach zbierając siano. Wychodzili rano, często przed świtem. Dokąd była rosa, kosiarze kosili trawę, potem roztrzepywali pokosy (rozbijali wałki). Przewracali siano. Południową porą, kiedy panował największy upał, kładli się pod krzakami leszczyn — odpoczywali. Zdarzyło się, że niejeden przysnął sobie zmęczony letnim żarem i ciężką pracą.

Przedziwne zdarzenie taką letnią porą podczas sianokosów przeżył Jędrzej K., z dziada pradziada mieszczanin muszyński. Było to chyba latem 1920 roku. Lipiec tego roku był wyjątkowo upalny i suchy. Jędrzej wraz z synami od świtu kosił „łąkę w leszczynach”. Kiedy obeschła rosa, rozrzućili skoszoną trawę. Przed południem przewrócili. *Zbliżała się pora obiadu.* Ojciec wysłał synów do domu. Mieli mu przynieść obiad na łąkę. Czuł się bardzo zmęczony, oświadczył, że nim przyniosą mu jedzenie, odpocznie nieco w cieniu. Kiedy po godzinie zjawili się chłopcy z matką, ojciec siedział błądy pod drzewem i cały się trząsał. Na pytania odpowiadał chaotycznie, urywanymi zdaniem. Z nich po chwili można było zrozumieć, co się wydarzyło.

Jędrzej właśnie położył się w cieniu leszczynowego krzaka na płachcie, gdy nagle ni stąd ni zowąd stanęła przed nim tańcząca południca. Była to szczupła i bardzo wysoka młoda kobieta, ubrana w ciekawą jasnozieloną zwiewną suknię. Tańcząc i wirując w koło, zachęcała Jędrzeja do tańca. Ten, widząc co się dzieje, szybko podniósł się z ziemi i chwycił mocno dość grubej leszczynowej gałęzi. Południca przebiegła wirując wzdłuż łąki, porywając za sobą siano. Rozrzuciła je na gałęziach starej gruszy, która rosła w jednym z rogów łąki.

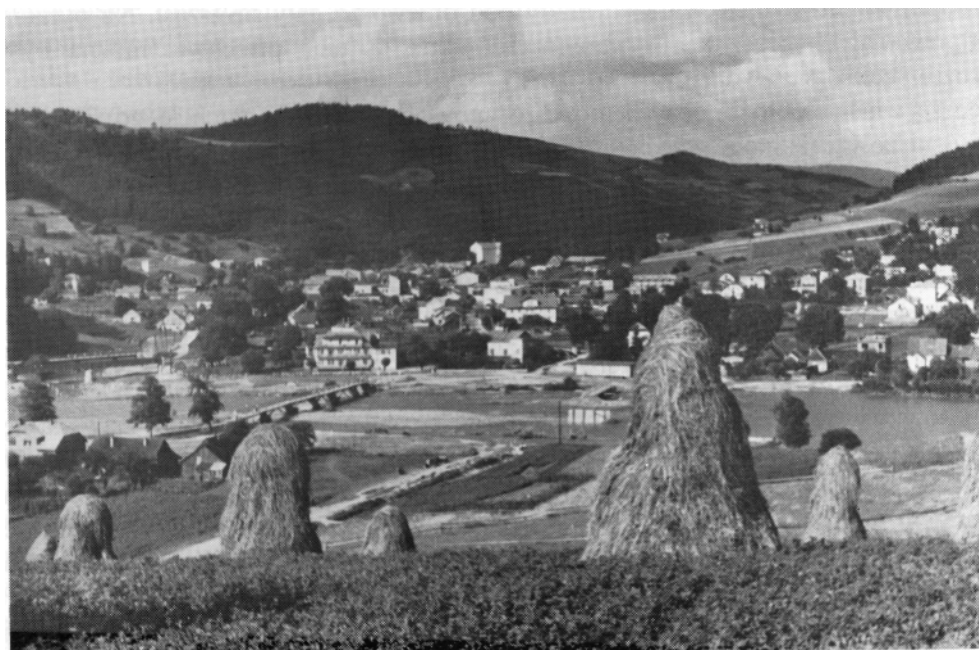
Rzeczywiście, przez środek łąki siano było wymiecione do czysta, a spore jego kiście zwisały z gałęzi starej gruszy i rozrzucone były też po okolicznych krzakach leszczyn. Z opowieści starych muszyniaków wyłania się postać południcy. Często zjawiała się na łąkach w upalne dni. Kiedy zastawała śpiących kosiarzy lub grabiarzy — „objała” ich. Budzili się z bólem głowy, bólem w krzyżach, ze ścierpiętym karkiem, obolałymi plecami. Wypadki takie były nader częste. Wiara w południce i ich harce na łąkach trwa chyba po dziś dzień, szczególnie wśród starych i zasiedziałyłch gospodarzy.

No i wreszcie mamuny! Muszyńskie mamuny to czaruchy o bardzo brzydkiej twarzy, ubrane na czarno. Ukazywały się zniecacka „mamuniac” — wabiąc, szczególnie mężczyzn, błyszczącym przedmiotem. Może było to lustro, może błyszcząca złota moneta? Nie wiadomo! Ale pewnym jest, że „zamamuniony” człowiek szedł za mamuną na manowce. Ocknięcie się było straszne. Kończyło się złamaniem ręki, nogi, potłuczeniami, siniakami, zadrapaniami, kiedy przez krzaki i chaszcze leciało się w „paryje”, gdy nagle mamuną zniknęła.

Prócz wspomnianych wyżej czarownic, mamun, boginek, gniciuchów i południc istniały w opowieściach, a może i rzeczywiście żyły wśród mieszkańców Muszyny, całe zastępy smętków, frasów, topielców, planetników i innych złych, psotnych duchów. Bywały one utrapieniem muszyńskiego mieszczaństwa. Ale o nich może przy innych okazjach, o ile taka tematyka zainteresuje współczesnego czytelnika.

Moim skromnym zdaniem, wierzenia naszych przodków są ciekawe, a jednocześnie tajemnicze. Dużo z nich można dziś racjonalnie wytłumaczyć i wyjaśnić, niemniej jednak godne są tego, by nie zostały zapomniane i by przekazano je przyszłym pokoleniom. By tradycja nie ginęła, a dawne wierzenia znalazły stałe miejsce, nawet w dzisiejszym skomputeryzowanym i na wskroś racjonalnym świecie.

Witt Kmietowicz



Łąka za Popradem. Może i ją odwiedzały południce? ... (fot. Jan Pawłowski)